

Dobrze wiedzieć

29 grudnia 2023

„Kiedy ujawnienie zbrodni traktowane jest jak przestępstwo, możesz być pewien, że sądzić będą przestępcy” – Edward Snowden.



Dostrzegając nagłówek interesującej nas informacji, klikamy, chcąc poznać treść. W tym momencie pojawia się szantaż o ciasteczkach i obowiązku zgody na udostępnienie swoich danych (adres poczty, hasło, telefon) jeśli chcielibyśmy zapoznać się z zawartością artykułu, czy zostawić komentarz. Dodatkowo jest jeszcze upomnienie, że mamy być grzeczni, nikogo nie obrażać, choćby wymowa artykułu była kłamliwa, że burzy krew w żyłach. Pominę absurd RODO. Technika wyłudzenia naszych danych jest karą za ciekawość, chęć wejścia w polemikę, czy sprostowanie treści uprzywilejowanego swą służbą i posłannictwem autora. Cel jest więc jeden: akceptuj, co widzisz i słyszysz bezdyskusyjnie. Do czasu można trzymać nerwy na wodzy, ale nasza powściągliwość tylko rozzuchwala właściciela z wiadrem pomyj wylewanych w głównym, czyli sponsorowanym nurcie mediów.

Może byłoby to zrozumiałe, gdyby w interesie handlowym miało sprzyjać pozyskiwaniu klienteli określonej firmy i jej produktów. Ekspansja praktyki wyłudzenia danych szantażem godzi w naszą wolę poddania weryfikacji setek wątków informacji, które bez zweryfikowania są niegodne wiary, tym bardziej – publikacji. Metoda kopiuj, zastosuj automatyczne tłumaczenie, sprzyja powielaniu nierzetelności. Jeszcze gorszą jest praktyka wyszukiwania w internecie materiałów kompromitujących kogoś, by zastraszyć, ośmieszyć, sparaliżować działalność społeczną, czy polityczną. Niestety, zrobiono z tego istny cyberprzemysł wielce dochodowy. A przecież tak od zawsze działali pracownicy SS (służb specjalnych). Kto daje się zatrudnić, bierze w tym udział, ten staje po stronie

świata kapusiów, donosicieli, pożytecznych idiotów. Powoływanie się na to, że inni też tak postępują, nie pomaga poszkodowanym.

Proceder uprawiany na szeroką skalę dowodzi, jak dalece ludzie zatracili azymut etyczny. Widzą i piętnują zło jedynie jako odległe zjawisko historyczne, ale nie kojarzą jego nowej postaci, której dla zatarcia związku ze starą niegodziwą praktyką nadano nową nazwę – doxxingu.

Realny obraz tak zorganizowanej działalności potwierdza i przybliża James Bamford. Nazwana „Misją Kanarkową” od 2014 roku zinstytucjonalizowana postać zjawiska gromadzi dane studentów, profesorów, działaczy i organizacji uważanych za antysemickie i antyizraelskie. Długie listy zgromadzonych nazwisk wykorzystywane są przez rząd Izraela do przesłuchań, odmowy prawa wjazdu do Izraela dla osób biorących udział na przykład w bojkocie towarów i firm izraelskich. Widniejący na czarnej liście są szykanowani za wspieranie protestów propalestyńskich. Kanarkową stronę internetową prowadzą postacie anonimowe. Zasoby zgromadzone na ich stronie wykorzystywane są przez służby specjalne Izraela nie tylko w granicach ich własnego państwa. Wiele osób zaskoczonych jest, kiedy pewnego dnia, odbierając telefon, dowiadują się, że ich nazwisko widnieje na czarnej liście. W ten sposób zastraszani są ludzie aktywni, którzy mają zaprzestać krytyki i uczestnictwa w grupowym piętnowaniu ludobójstwa. Uciszanie aktywistów sięga dalej do procesu poszukiwania pracy, który może okazać się trudny, zniechęcający, albo uniemożliwia znalezienie zatrudnienia. Człowiek z listy może liczyć się z blokadą awansu zawodowego. Zaistnienie na owej liście jest łatwe, lecz skreślenie z niej jest niemożliwe.

Szykany dotyczące kadre akademicką i brać studencką powszechnie znanych uczelni USA wskazują, że służby izraelskie wywierają wpływ na opinię publiczną Ameryki, by powstrzymywać ją od krytyki. O ile James Bamford ma trudność w interpretacji nazwy własnej zjawiska internetowego, dla Polaka wymowne

będzie skojarzenie z „kanarem” polującym w środkach komunikacji miejskiej na gapowiczów. Zastrzec należy, że u nas chodzi jedynie o wyegzekwowanie kary za brak biletu. „Misja Kanarkowa” ma dużo szersze zainteresowania, gromadząc najdrobniejsze szczegóły profili osób na liście. Gazeta „Haaretz” i czasopismo „The Forward” w październiku 2018 roku próbowały ujawnić nazwiska indywidualnych fundatorów i instytucji charytatywnych finansujących działalność o charakterze wyraźnie szpiegowskim. Idąc śladem pieniędzy, dziennikarze dotarli do głównej postaci, którą okazał się rabin. W grę wchodzi miliony dolarów przelewane przez środowiska zamożnych Amerykanów pochodzenia żydowskiego. Zdarza się, że ludzie wpisani na czarną listę jadąc do rodziny mieszkającej w Izraelu, dowiadują się na granicy, że muszą pogodzić się z odmową i deportacją.

Zarządzana od 9 lat przez władze izraelskie, finansowana przez pieniądze amerykańskie tajemnicza instytucja z misją, po 7 października b.r. zareagowała zdwojoną aktywnością na każdy głos przypomnienia, że problem Palestyńczyków liczy 75 lat. Zagęściły się dane na listach „Misji”. Nazwiska wciągniętych na czarną listę studentów i kadry na Harvardzie były przykładem, który inne uczelnie podzieliły niebawem.

Sam obieg pieniędzy między fundatorami i beneficjentem jest dość złożony. Oprócz indywidualnych nazwisk żydowskich milionerów, w roli sponsora widnieje Komitet Społeczności Żydowskiej z San Francisco. Przelał on pieniądze na rzecz Centralnego Funduszu Izraela w Nowym Jorku, by uniknąć konieczności płacenia podatku, gdyby pieniądze przelano bezpośrednio do Izraela. Nowojorski Centralny Fundusz Izraela jest instytucją fasadową, która z kolei przesyła pieniądze izraelskiej fundacji charytatywnej o nazwie Megamot Shalom. Nie ma jej przedstawiciela, adres prowadzi do zrujnowanej części Jerozolimy, istnieje jak widmo jedynie online, skutecznie przejmując jednak przelewy pieniężne. Jednym z 7 członków zarządu instytucji jest rabin Ben Packer. Prowadzi on

hotel przyjmujący gości z uwzględnieniem kryterium – tylko dla swoich. Wśród gości odnotowanych na liście hotelowej znaleźli się Bernie Sanders, Diane Feinstein, Natalie Portman, wszyscy dziennikarze z dziennika „Haaretz”.

Jako zwolnione z obowiązku ujawniania źródeł finansowania swojej działalności, fundacje pozostają niejasne pod względem wzajemnych relacji i celów. Skoro organizacja o powiązaniach zagranicznych ma tajemniczą strukturę i cel, powinna być traktowana jako agentura izraelska pozyskująca dla obcych służb szczegółowe dane o obywatelach, by szantażować ich i szkodzić w życiu prywatnym, społecznym i zawodowym.

Swoje niepokojące spostrzeżenia i wnioski J. Bamford omawiał z funkcjonariuszami FBI. Podzielali w zupełności ich słuszość. Próby przeniesienia problemu na wyższy szczebel, choćby do departamentu sprawiedliwości nie poskutkowały zainteresowaniem, więc nic się nie zmienia. Najlepszym potwierdzeniem bezskuteczności podjętej próby przeciwdziałania obcej agentury był przypadek profesor Katherine Frankie ze Szkoły Prawa na Uniwersytecie Kolumbia. Kiedyś zasiadała ona w gronie doradców organizacji Jewish Voice for Peace (JVP) – Żydowski Głos dla Pokoju. Pewnego dnia, gdy wylądowała w Izraelu, okazało się, że mając profil na stronie „Misji Kanarkowej”, została zatrzymana na 14 godzin w areszcie, następnie deportowana z informacją, że objęta jest stałym zakazem wjazdu do Izraela. Jej przypadek nie jest odosobniony.

Dostrzeżony paraliż państwa na działalność niekontrolowanych instytucji obcych, spowodował, że James Bamford postanowił wydać książkę ukazującą szkodliwość zjawiska. Już sam tytuł wyjaśnia niemal wszystko – „Spyfail: Foreign Spies, Moles, Saboteurs and the Collapse of America’s Counterintelligence” („Szpiedrzy, krety, dywersanci – fiasko amerykańskiego kontrwywiadu”). Wiecie, co przeciwnik zrobić może z taką książką? Wykupi cały nakład, by społeczeństwo nadal żyło marzycielskim mitem wolności.

Opracowanie: Jola

Na podstawie: [en.Wikipedia.org](https://en.wikipedia.org), Forward.com, YouTube.com,
GoodReads.com

Źródło: WolneMedia.net